

KAROL PIEGZA
CERAMIKA
CIESZYŃSKA





KAROL PIEGZA

CERAMIKA
CIESZYŃSKA



Dzbanek jabłonkowski. — Zdjęcie K. Piegzy.

KAROL PIEGZA

CERAMIKA CIESZYŃSKA

WYDAŁ
ZARZĄD GŁÓWNY
POLSKIEGO
ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
—
SEKCJA
FOLKLORYSTYCZNA

CZESKI CIESZYN

1971

P 3.02.26 SL



KN 12377

438.031.4 (438)

W przedmowie do jednodniówki CUDZE CHWALICIE, SWEGO NIE ZNACIE zaznaczono, że jest ona niejako wstępem do serii zeszytów ludoznawczych, które zamierza wydawać Sekcja Folklorystyczna przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czeskim Cieszynie. I oto przedkładamy Czytelnikom pierwszą pracę owej serii, CERAMIKĘ CIESZYŃSKĄ Karola Piegzy, człowieka o wszechstronnych zainteresowaniach i dla tutejszej kultury ludowej niezwykle zasłużonego. Jest więc Karol Piegza zarówno malarzem, fotografikiem, etnografem, jak i zbieraczem folkloru prozaicznego, pieśniowego, a także pisarzem ludowym. Jego zamilowania artystyczne i etnograficzne znalazły wyraz i w niniejszej publikacji, gdyż ceramika, to nie tylko rzemiosło, ale i plastyka ludowa. Wprawdzie problematyka ta nie została tu wyczerpana w zupełności, niemniej jednak w CERAMICE K. Piegzy znajdziemy szereg cennego i dotychczas nigdzie nie publikowanego materiału, będącego wynikiem wieloletnich zainteresowań autora tą właśnie dziedziną. Wierzymy, że przedkładana pozycja przyczyni się do pogłębienia wiedzy o kulturze ludowej Śląska Cieszyńskiego — jednej z najbardziej charakterystycznych cech tego skrawka ziemi nad Olzą. Starajmy się w kulturze tej dostrzec wielkie wartości historyczne i artystyczne, nie ignorujmy jej więc, ale popularyzujmy ją, jest bowiem spuścizną, z której może korzystać i wiele przyszłych pokoleń.

DANIEL KADŁUBIEC.

Typowy dom garncarza Józefa Czecha w Jabłonkowie. — Zdjęcie K. Piegzy. ▷



UWAGI WSTĘPNE

Przypuszcza się, że garncarstwo należy do najstarszych rzemiosł na świecie. Jego początków trzeba więc szukać w zamierzchłych czasach. Świadczą o tym nie tylko liczne wykopaliska, lecz potwierdza to i prosta logika, gdyż konieczność sporządzania naczyń wiąże się ściśle z podstawową potrzebą człowieka — z pożywieniem. Już nawet człowiek jaskiniowy musiał się liczyć z gromadzeniem zapasów żywności w czymś, co swym kształtem i funkcją przypominało naczynie. Rolę tę spełniał początkowo wydrążony kamień lub pień drzewny. Do niedawna jeszcze i nasi górale sporządzali sobie sami czerpaki, koryta i korytka, szkopki, solniczki, farchy na zboże i różne inne naczynia z drążonych pni drzew. Bywało nieraz i tak, że potężne zdrowe pnie, odpowiednio wydrążone, służyły za cembrowanie studzien, zapobiegając tak obsuwaniu się ich ścian i zasypywaniu ziemią czy żwirem.

Rychło jednak przekonano się, że stosunkowo łatwiej i prościej można sporządzać naczynia z gliny, która w stanie wilgotnym jest tworzywem podatnym, dającym się ugniatać w przeróżne formy, a następnie wypalać. Początkowo lepiono naczynia ręcznie i wypalano je na otwartym ogniu. Czynnością tą zajmowały się zazwyczaj kobiety, gdyż sprawa pożywienia i robienia jego zapasów należała do ich obowiązków i wiązała się ściśle z zapotrzebowaniem na odpowiednie naczynia. Z czasem, kiedy sztuka garncarska znacznie się udoskonaliła i stała się zajęciem nie tylko kobiet, ale i mężczyzn, zajęło garncarstwo wśród rzemiosł jedno z czołowych miejsc.

Rzemiosło to było na Śląsku Cieszyńskim w dawnych czasach bardzo rozpowszechnione. Co więcej, tutejsze wyroby nabrały z czasem takiej doskonałości, że zaczęto je wywozić i poza granice regionu, a nawet kraju. Mniejszych warsztatów garncarskich było w Cieszyńskim sporo. Z większych ośrodków, słynących z tego rzemiosła, wymienić

należy Jabłonków, Cieszyn, Skoczów, Wisłę, Toszonowice Górne i Błędowice z Datyniami. Frydek słynął natomiast z wyboru pięknych kafli, tzw. majolik. Na naszym terenie, tj. w części Śląska

Cieszyńskiego leżącego po stronie czeskiej, garncarstwo w Jabłonkowie, Toszonowicach, Błędowicach i Datyniach zanikało stopniowo po pierwszej wojnie światowej, aż upadło zupełnie.

Wróćmy jednak do początków sztuki garncarskiej, kiedy to garnki „leplono”, a nie „toczono”, gdyż koła garncarskiego jeszcze nie znano. „Lepienie” odbywało się w dwojaki sposób:

1. Dno i ścianki naczynia modelowano w całości z jednej bryły.
2. Ścianki dolepiano do uprzednio przygotowanego dna naczynia. Same ścianki tworzone metodą spiralnego nakładania zwojów gliny, mających kształt cienkich wałeczków.

Metoda lepienia naczyń glinianych wydaje się być najstarszym sposobem ich wytwarzania, bo już nawet stare przysłowie powiada: „Nie święci garnki lepią”. Owo spiralne lepienie garneków jest jeszcze do dziś rozpowszechnione u niektórych ludów prymitywnych. — Uderza w nim wielkie podobieństwo do techniki spiralnego plecenia różnych okrągłych przedmiotów np. ze słomy (u nas słomianki), przy czym spleciony warkocz układa się ślimakowato w kierunku ku górze. Na podstawie tego podobieństwa niektórzy etnografowie twierdzą, że metoda spiralnego lepienia naczyń wzorowała się na starszym od niej sposobie spiralnego plecienia przedmiotów ze słomy lub innego materiału i że jemu zawdzięcza swój rozwój. Lepienie garneków odbywało się praktycznie w ten sposób, że najpierw

TECHNIKA I MATERIAŁ

kładziono na deskę odpowiednią bryłę rozrobionej gliny, rozplaszczano ją ręcznie, nadając okrągły kształt dnu przechodzącemu ku górze w ściankę. Następnie do tak przygotowanego spodu naczynia [garnka] dolepiano spiralnie cienkie wałki gliny i wygładzano je drewnianym nożykiem. Gardło naczynia formowano za pomocą zwilżonej podłużnej szmatki, której jeden koniec przyciskano wielkim palcem od strony wewnętrznej, drugi zaś resztą palców od strony zewnętrznej naczynia. Wybrzuszenie garnka było wynikiem pracy obu rąk, przy czym jedna dotykała ścianki z wewnątrz, druga z zewnątrz naczynia. Do wygładzenia ścianek oraz ich zdobienia służył wspomniany drewniany nożyk lub też kwadratowa, cienka deszczułka z otworem w środku — zwana na Śląsku **czympielem**. Posługiwanie się wilgotnymi szmatkami, skórkami oraz

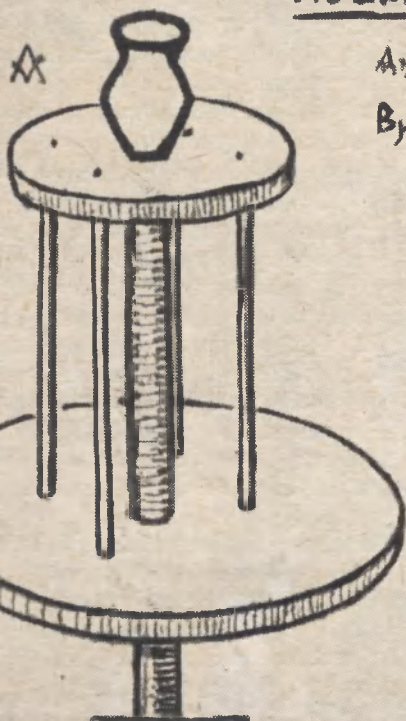
nożykami drewnianymi różnych kształtów spotykamy jeszcze dotąd u garncarzy na całym świecie.

Prawdziwy przewrót w garncarstwie wywołał wynalazek koła garncarskiego, którego zastosowanie znacznie skróciło czas formowania wyrobów. Nie trzeba chyba dodawać, że jego rozpowszechnienie przyczyniło się również do dokładniejszego i estetyczniejszego wykończenia naczyń glinianych. Początkowo koła garncarskie były bardzo prymitywne, niskie i osadzone na zwykłej desce czy ławie. Miały napęd ręczny. Przez wprowadzenie udoskonalonych kół nożnych — bo napędzane były za pomocą nóg — zostały uwolnione obie ręce garncarza.

Garncarskie koła nożne były dwojakie:

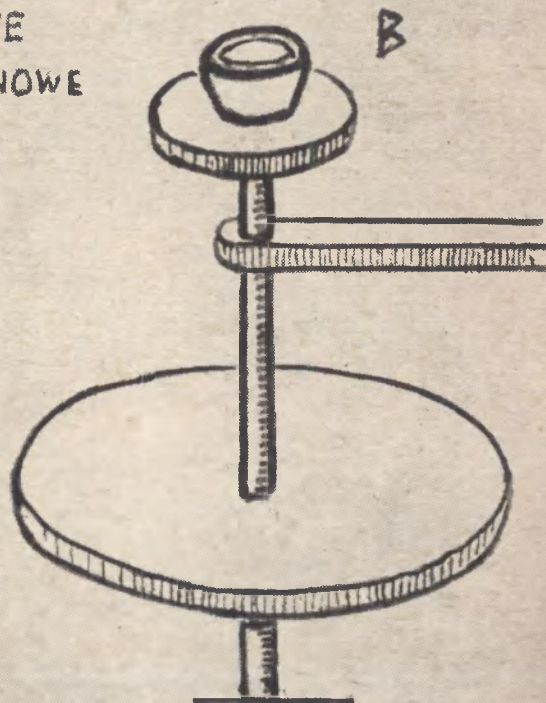
1. sponowe,
2. bezsponowe.

KOŁA GARNCARSKIE:



A/ SPONOWE

B/ BEZSPONOWE



Koła sponowe są starsze i, jak sama nazwa świadczy, cechują je spony, czyli podpórki łączące koło garncarskie, znajdujące się u góry, z większym kołem u dołu, wprawianym w ruch nogami. Bezspoonowe koła garncarskie nie posiadają podpórek bocznych, mają natomiast jedną środkową oś główną, na której osadzone są oba wymienione koła. Koła garncarskie bezspoonowe okazały się praktyczniejsze, prędko się przyjęły i w krótkim czasie wyparły koła sponowe.

W Europie południowej koło garncarskie było już znane w czasach bardzo dawnych. W Egipcie i starożytnej Grecji posługiwano się nim już w 2. tysiącleciu przed naszą erą. Zawędrowało jednak i poza Europę, do znacznej części Afryki i Azji z Chinami i Japonią włącznie. Do Europy środkowej przedostaje się nieco później, bo w drugiej połowie pierwszego tysiąclecia przed n. e., w tzw. epoce lateńskiej. Nieco później zapoznają się z nim Słowianie północni. Dociera więc i do nas. Pracownie garncarskie powstawały zazwyczaj w takich ośrodkach, gdzie w pobliżu znajdowała się odpowiednia glina. Według wypowiedzi ostatniego potomka garncarzy jabłonkowskich, kaflarza Józefa Taciny, dobra, należyście przerobiona glina gwarantowała powodzenie pracy garncarskiej. Ponieważ np. w samym Jabłonkowie dobrej gliny nie było, jeżdżono po nią aż do osady Lyski pod Górową (2 km) albo też do Bukowca, do Chraścínów i Sikorów „Zplacowianów” (4 km). Glina ta miała odcień siwy, była tłusta i zwano ją celiną. Dobre gliny wydobywało się dopiero na głębokości 1 m. Przywożono je na furmankach do Jabłonkowa. Zamożniejsi garncarze wynajmowali sobie do kopania gliny robotników. Grubość warstwy gliny tłustej wynosiła od 70 do 80 cm. Usuwanie zanieczyszczeń w postaci w większych i mniejszych kamyków dokonywano przez przekopanie gliny grąką, czyli pniówką. Potem polewano ją wodą i nabijano na pieńek o średnicy od 30 do 70 cm, a wysokości od 30 do 40 cm.

Na pieńku ubijano glinę **kijónką** do tzw. **bochenków**. Następnie strugano miękką glinę strugiem, sporządzonym z ostrza kosi (podobnego używają rzeźnicy do usuwania szczeciny z zabitych świń), na płatki od 3 do 5 cm grubości. Napotykanie tu i ówdzie kamyki usuwano. Glinę w takiej postaci ponownie ubijano na pieńku i znów krajano strugiem. Po trzeciej takiej czynności, kiedy w glinie nie było już żadnych zanieczyszczeń, kamyków ani też otworów, czyli porów, garncarz ugniatał z niej mniejsze **pecynki**, maczał je w wodzie na misie, układając na gromadę liczącą od 20 do 25 sztuk. Po dwu, trzech godzinach pecynki zmiękły i dopiero w takim stanie nadawały się do dalszej przeróbki. Garncarz kładł po jednej sztuce na **bank**, wywałkował glinę na grubą kielbasę, podobnie jak się to czyni z ciastem. Średnica tak wywałkowanego tworzywa była uwarunkowana wielkością naczyń, które miały być z niego wykonane. Następnie glinianą kielbasę dzielił palcami na odcinki, pozwalające na formowanie planowanego garnka czy też dzbanka. Ułożywszy te „porcje” na **banku**, wybierał jedną z nich, osadzał mocno na głowie, czyli środku koła garncarskiego, kontrolując zarazem, czy glina znajduje się centrycznie na kole. Potem maczał ręce w tzw. **gliniku**, tj. naczyniu o dwu przegródkach. W jednej miał czystą wodę, w drugiej tzw. **szligier**, czyli wodę z rozprowadzoną w niej gliną (szligrzu używały też matki zamiast zasyпки dla niemowląt). Umaczawszy ręce w szligrze, garncarz usiadł do koła garncarskiego, wprawiając je powoli w ruch obrotowy. Pod działaniem siły obrotowej koła oraz rąk mistrza glina przestawała **rzucać** i przybierała kształt okrągły. Szybkość obrotów miarowo wzrastała i spod rąk garncarza zaczynało wyrastać naczynie. Lewa ręka mistrza pozostawała wewnątrz niego, prawa znów formowała je z zewnątrz, obie zaś ręce razem instynktownie kontrolowały grubość ścianki naczynia. Potem garncarz brał do prawej ręki — w zależności od potrzeby — drewniany nożyk, szmatkę, kawałek skórki

lub gładkiego szkła i tym równa i wygładzał naczynie z zewnątrz. Kiedy zostało już ostatecznie uformowane, garncarz naciągał cienki drut przy pomocy osadzonych na jego końcach drewnianych uchwytów (kołeczków), przykładając go poziomo do samej podstawy naczynia i wprawiając koło w powolny ruch, odcinał od niego naczynie. Jeżeli zaś o dzbanek chodziło, formował jeszcze tzw. **cypek** (wylew) w ten sposób, że palec wskazujący lewej ręki przykładał do brzegu naczynia od wewnątrz, a kciukiem i palcem średnim prawej ręki naciskał szyjkę naczynia z zewnątrz. Wreszcie delikatnie ujmował oburącz naczynie i ustawiał je na desce, tzw. **odrzynie**. Ustawianie uformowanych naczyń wymagało dużej zgrabności i wprawy, szczególnie wtedy, gdy chodziło o sztuki większe, które łatwo podlegały deformacji. Kiedy odstawna deska (odrzyna) była już pełna naczyń, zasuwaną ją do prymitywnego regału lub też wieszano na hakach lub drucie przy bocznej ścianie, zazwyczaj w dwu rzędach nad sobą. Naczynia pozostawiano tam przez całą dobę, aby wyteżały, po czym dorabiano im ucha z tego samego, co one, materiału. Wykonywano je z uprzednio ugniecionych glinianych kłębusek, które garncarz rozcinał palcami na kawałki odpowiedniej długości. Palcami nadawano im odpowiedni kształt, później zaś używano do tego celu form drewnianych. Kiedy ucha nieco stężały, nacierano ich końce szligrzem i dolepiano do naczyń. Nierówności w miejscach styku ucha z naczyniem obmazywano gliną i wygładzano przy pomocy gąbki. Tak wykończone naczynia ustawiano ponownie na odrzynach, tym razem jednak dnem do góry, celem wyrównania i wygładzenia zadziórów w krawędziach dna, powstałych podczas odcinania od koła. W tym stadium wykończenia pozostawiano naczynia przez dłuższy czas, aby należycie wyschły. Panująca w warsztacie odpowiednia temperatura sprawiała, że po tygodniu naczynia były już na tyle suche, by mogły być poddane procesowi wypalania, co znowu wymaga-

ło wielkiej ostrożności i doświadczenia.

Najdawniejszym i bardzo prymitywnym sposobem było wypiekanie naczyń w gorącym popiele albo też wypalanie ich na wolnym ogniu. Kiedy garncarstwo uzyskało rangę rzemiosła, zaczęto wypalać naczynia w specjalnych piecach. Początkowo były to piece bardzo proste — jakieś jamy wykopane w zboczach pochyłego terenu. Wylepiano je gliną, po czym układano w nich surowe wyroby. Ujście jamy osłaniano daszkiem, pod którym rozpalano ogień. Popolitsze jednak okazały się piece lepienne z gliny i skorup stłuczonych naczyń już wypalonych lub też piece sporządzone z garnków wkładanych jedno w drugie. Piece te miały kształt kopulasty i były bądź nie osłonięte u góry, bądź też pokryte z wierzchu ziemią i darnią. Ich wnętrza wypełniano wysuszonymi wyrobami garncarskimi, które ustawiano na pomoście z kłód. Pod nim zaś rozniecano ogień, a w miarę spalania się drzewa naczynia nieznacznie osiadały.

Najczęściej jednak budowano piece dwudzielne z dziurkowaną wewnątrz ścianką, dzielącą piec na dwie części: dolną i górną — albo też przednią i tylną. W dolnej (przedniej) płonęło ognisko, w górnej zaś (tylnej) układano świeże naczynia, przeznaczone do wypalania. Były też i piece dzielone takimiż ściankami na trzy części: w pierwszej palił się ogień w drugiej, umieszczonej nad pierwszą, ciepło przechodziło swobodnie, a dopiero w trzeciej — najwyższej — wypalały się naczynia. Zdarzały się i takie wypadki (choć odosobnione), że uformowane naczynia jakiś wiejski garncarz potrafił wypiec w kuchennym piekarniku (**piekarszczoku**).

W niektórych krajach chłodzono świeżo wypalone naczynia w rzadkim rozczywie wody i mąki, przez co wyroby nabierały podobno większej trwałości.

Bardzo ważną czynnością, związaną z wypalaniem wyrobów garncarskich, było ich **polewanie i glazurowanie**. Polewanie oznacza pokrywanie wyrobów ceramicznych cienką warstwą delikatnej

glinki dla nadania im trwałości i zakrycia porowatości, glazurowanie zaś, to pokrywanie tych wyrobów cienką warstwą szkliwa, które nadaje im połysk. Technologia tych czynności była różna i nieraz stanowiła tajemnicę wytwórcy czy warsztatu garncarskiego.

Jeśli chodzi o glazury, czyli **glejty**, to jabłonkowscy garncarze używali następujących:

1. glejte srebrną z domieszką tlenku ołowiu (PbO), później zakazaną ze względów zdrowotnych,
2. glejte zieloną z domieszką tlenku miedzi (CuO),
3. glejte brązową z tlenku żelaza,
4. glejte brązowo-fioletową z braunsztynu, czyli dwutlenku manganu (MnO_2).

Glejty białe, żółte i czerwone otrzymywano z różnokolorowych glin lub kamieni znajdujących się w przyrodzie. Tak np. garncarze jabłonkowscy używali do polewy i malowania swoich naczyń gliny czerwonej, którą eksploatowali na zalesionym zboczu góry Girowej, zwanym do dziś Czerwoną. Glinę tę, która znajdowała się na głębokości mniej więcej 1 metra, zwożono na wozach czy też ręcznych wózkach, potem suszono i usuwano różne zanieczyszczenia mechaniczne, jak igliwie, liście, korzonki i kamyki. Następnie mocno ją w wodzie tak długo, dopóki na powierzchni cieczy nie osiadł czerwony osad, zwany **śmietanką**. Zbierano go do osobnego naczynia i używano nie tylko do malowania garnków i dzbanków, lecz także do gruntowania naczyń przed glazurowaniem i podmalowywaniem górnych krawędzi garnków i czepników na mleko.

W czasach późniejszych, kiedy na skutek silnej konkurencji ze strony produkcji przemysłowej garncarze byli zmuszeni przestawić się raczej na kafarstwo, zaczęto sprowadzać, głównie z Niemiec, gotowe glazury w opakowaniach po 25 i 50 kg.

Ciekawym dokumentem, ilustrującym wielką różnorodność glazur produkowanych fabrycznie jeszcze przed pierwszą wojną światową, jest stary cennik

saksońskiej firmy Maisner. Wynika z niego, że glazury dzielono na dwie zasadnicze grupy:

A) Schmelzglasuren,

B) Glätteglasuren.

Pierwsze liczyły aż 19 grup według kolorów, a mianowicie:

1. delikatna biała, specjalna,
2. delikatna biała nr 1,
3. delikatna biała nr 2,
4. delikatna biała nr 3,
5. bardzo łatwo rozpuszczalna nr 1,
6. brunata,
7. niebieska nr 1,
8. delikatna jasnoniebieska,
9. ciemnozielona,
10. morska zielona,
11. jasnożółta,
12. żółta rezedowa,
13. żółta pomarańczowa,
14. brunatna szmelcowana,
15. fioletowa (lila),
16. brunatna kamienista,
17. żółta marmurowa,
18. niebiesko-brunatna,
19. czerwono-brunatna.

„Glätteglasury“ były używane tylko w 9 kolorach:

1. brunatna glejtowna,
2. brunatna miedziana,
3. ciemnozielona glejtowna,
4. jasnozielona,
5. sepia,
6. zielona brązowa,
7. żółta glejtowna,
8. niebieska glejtowna,
9. czarna glejtowna.

„Schmelzglasury“ były od „Glätteglasur“ znacznie droższe. I tak np., kiedy cena pierwszych (za 50 kg) wahała się w granicach od 33 do 65 marek niemieckich przedwojennych, to cena drugich za tę samą ilość wynosiła tylko od 27 do 33 marek niemieckich. Niektóre glazury szmelcowane były do nabywania w trzech różnych postaciach. Na przykład białe kupowano:

1. w kawałkach,
2. drobno tłuczone (gekollert),
3. mielone.

Najdroższe były oczywiście mielone toteż garncarze i kaflarze zamawiali raczej gatunek średni, tj. drobno tłuczone [gekollert], w postaci drobnych łusek, które następnie przemielało na zwykłych żarnach domowych. Była to praca nader żmudna i męcząca. Łuski męło się bardzo powoli; wsypywano do żarn jedną ich łyżkę i zalewano taką samą ilością wody. Dobrze zmielona glazura wyciekała z żarn powoli, podobna do gęstego miodu. Jeśli jeszcze zauważono w niej drobne, nie zmielone resztki, wracała do żarn lub też dolewano do niej łyżkę octu. Doświadczony garncarz, rozcierając glazurę między palcami, wyczuwał, czy nadaje się już do użytku. Glazura zbyt gęsta pękała podczas wypalania, a na naczyniach i kaflach powstawały włoskowate pęknięcia, tzw. **harysy** (Haarriessen), co obniżało wartość produktu.

Szczególne uwagę poświęcano glazurowaniu kaflów, które musiały dwukrotnie wędrować do pieca, gdy tymczasem wyroby garncarskie wypalano za jednym razem, włącznie z polewą i glazurą. Glazurowanie kaflów i wyrobów garncarskich było czynnością nader skomplikowaną, wymagającą długiej praktyki, a przede wszystkim dokładności. Tak np. według wypowiedzi jednego z ostatnich garncarzy i kaflarzy jabłonkowskich, Izzydora Kopeckiego, wyrabiano też żółtą glazurę z błyszczu ołowianego, przywożonego z Przybramnia w Czechach, glazurę zieloną zaś z pirytu, mosiężnożółtego minerału, który był dostarczany aż z Alp. Piryt kruszono najpierw w kamiennej stępie lub w dużym żelaznym młódczku, a potem mieszano z tłuczonym krzemem brązowym, występującym w postaci białych okrągłych kamyków, tzw. **gąsek**, w korycie Olzy. Oba tak zmieszane składniki mielono po-

tem w żarnach na drobny proch, który następnie przepalano na popiół. Popiół ten rozpuszczano w wodzie i po oczyszczeniu go otrzymywano glazurę do polewania glinianych naczyń przed wypalaniem. Chociaż przygotowanie tej glazury było bardzo czasochłonne, w garncarstwie stosowano ją jednak często z uwagi na jej taniość.

Dużo pracy i wydatków przysparzało garncarzowi zdobycie dostatecznej ilości paliwa, tj. drewna. Najczęściej było nim drewno świerkowe, jako najtańsze, rzadziej jodłowe. Córka garncarza Wacława Kopeckiego opowiada, że u jej ojca podczas jednego tylko wypalania zużyto 3 m³ drewna. Musiano więc zatrudniać specjalnego robotnika, troszczącego się tylko o opał. Mieli piec trzykanałowy, w którym paliły się jednocześnie trzy ogniska. U wylotu każdego z kanałów zapalano po kilka niedużych polan ułożonych poziomo, a kiedy mocno zapłonęły, przykładano na nie wielkie polana pionowo tak, że sięgały aż w głąb kanału. Dla ochrony swych rąk musiał palacz nakładać długie płócienne rękawice, sięgające ponad łokcie, zwilżane wodą. Jeden wypał trwał zazwyczaj 24 godziny, najczęściej od jednego południa do południa dnia następnego. Użycie drewna nieco wilgotniejszego przedłużało czas wypału o 2—3 godziny.

Pomiędzy poszczególne naczynia wkładano cienkie gliniane płytki, by nie do puścić do sklejenia się poszczególnych sztuk. Każdy piec miał też swoje tajemnice i właściwości; jeden wypalał lepiej w górnej części, inny w dolnej, w jednym pękały naczynia umieszczone po prawej, w drugim po lewej stronie. Wszystkie te tajniki pieca musiał dobry garncarz znać, w przeciwnym razie praca szła na marne, a wybrakowany towar musiano wozić do pobliskiej Olzy.



RYNKI ZBYTU

Zarobek garncarzy w owych czasach był stosunkowo skromny. Cena naczyń była zależna od jego wielkości i jakości. I tak np. za garnki płacono od 1 do 4 grajcarów austriackich (2—80 halerzy). Dzbanki i misy były nieco droższe, ponieważ płacono się dodatkowo za tzw. dekor, czyli ozdoby malowane, ryte, a czasem nawet nalepiane. W Jabłonkowie stosowano najczęściej polewę kremową lub zieloną, która wyraźnie odbijała się od ciemnobrunatnego koloru naczyń. Jeszcze prostsza była technika żłobienia w wygładzonej powierzchni przy pomocy ostrego rylca. Malowany czy ryt dekor tworzył początkowo wyłącznie motywy geometryczne (linie faliste, zygzakowate, koła, kropki itp.). Dopiero później sięgano również po motywy roślinne. Rysunku figury ludzkiej w ceramice cieszyńskiej prawie że nie spotykamy. Na białe polewane dzbankach z warsztatów błędowickich i datyńskich umieszczano w dekorze nawet napisy.

Podczas targów tygodniowych, a zwłaszcza dorocznych jarmarków, garncarze wystawiali swe wyroby na rynku wprost na ziemi. W związku z tym zachowała się w opowiadaniach jabłńskich następująca tragicomiczna przygoda:

„Był też raz jarmak w Jabłńsku na rynku. I tóż jako na jarmaku — pełno bud, wszelakiego towaru, a na ziemi to wódm mieli gańczorze porozkładane gliniane garce, pónoloki, żbónki, ciepnički, miski i jinsze czerepy. Na jarmaku się sprzedawało aji bydło. Tóż niewęcy jistebniocy kludzili przez rynek krowy, kónie, a na wozach wiyżli świ nie, łowce abo cielacka. A kludził wódm też jedyn handlyr sztyry krowy przez tyn nabity rynek, a z boku stoł jakisi gazda z Bukowca z takim morowym bykym. Naroz tyn byk zawietrzył, łoszklile zaryczył, tynu gazdowi sie z ręki wyrwoł i z taki bujności przednimi nogami hóp na jedną krowym. Ludzie

w pisk, krowa się zaczęła cofać i prosto z nogami do tych szumnych garców na ziemi. Niż się gdo spamiynto!ł, nie zostało z tych garców nic, jyny kupa strzepów. Dostało się to potem do syndu, bo żodyn nie chciał płacić. A był wóm wtedy w Jabónkowie taki szpekulant sędzia, a tyn to tak rozsądził: Handlry płaci 2/3 szkody, bo jego krowa deptała sztyryma nogami, a gazda jyny 1/3, bo jego byk depto!ł dwiyma nogami.

Ludzie się śmioli z takigo rozsądku, ale musieli łuznać, że sędzia dobrze wiedziot!ł, gdo mo więcy pinieędzy“.

Córka jabłonkowskiego garncarza, Wacława Kopeckiego, informuje, że w każdy wtorek sprzedawano towar na targu w Jabłónkowie, a w każdy piątek jeżdżono z nim do odległego Trzyńca, z czym były wielkie kłopoty, bo nie sprzedaną część towaru trzeba było odwozić lub odnosić z powrotem. W wypadku, gdy zaś wyrobów brakło, trzeba je było dodatkowo przywozić w dzichcie koleją, a odcinek drogi Jabłónków-Nawsie odbyć z ładunkiem piechotą. Każdy grosz był tu więc ciężko zapracowany. Nieco później wybudował sobie Wacław Kopecki w Trzyńcu, obok targowiska, drewnianą szopkę, w której przechowywał do następnego razu nie sprzedany towar. W taki sposób zapewniał sobie rezerwę, by nie musiał dla kilku naczyń odbywać uciążliwej drogi z Jabłónkowa do Trzyńca. Ceramikę sprzed

wano także wprost w pracowni stałym odbiorcom — handlarzom i kupcom. Tak np. do Wacława Kopeckiego przyjeżdżał regularnie zimą bogaty gazda z Turzówki, Warmus, i nabywał hurtem pełny wóz różnych naczyń glinianych, które potem z pewnym zyskiem sprzedawał w Słowacji.

Ojciec Wacława Kopeckiego, Jerzy, również garncarz, jeździł ze swoimi wyrobami aż do Galicji, w stronę Krakowa. Niestety stał się ofiarą swego zawodu. Pewnego razu w okolicy Miłówki znalazł śmierć pod wozem załadowanym towarem.

Wielką okazją zarobkową były dla garncarzy doroczne jarmarki w pobliskich oraz dalszych miasteczkach. Przyjeżdżało tam zawsze mnóstwo ludzi, aby poczynić zakupy na cały rok. Specjalnym popytem cieszyły się tzw. **bóncloki** (**póncloki, kamióńki**), wyrabiane w Toszonowicach Górnych. Cechowała je większa trwałość, gdyż do ich produkcji używano lepszej, twardszej gliny, sprowadzanej aż z Czech. Według Vlad. Scheuflera, Slezský sborník 49, 1951, str. 63, nazwa bónclok pochodzi od niemieckiej nazwy miasta Bolesławiec — Bunzlau, gdzie już od połowy w. XVI zaczęto wyrabiać naczynia gliniane, nazwane kamionkami, jako że odznaczały się wielką trwałością. Były wykonywane w kolorze jasno- i ciemnobrunatnym.

OŚRODKI CERAMIKI

Podobne bóncloki zaczęto wyrabiać także u nas pod koniec w. XIX w wiosce **Toszonowice Górne** u garncarza Rudolfa Moránia, który był człowiekiem pracowitym i przedsiębiorczym. Potrafił też w krótkim czasie zmienić niepokażny warsztat garncarski na małą fabryczkę, w której zatrudniał od 4 do 6 starszych, doświadczonych garncarzy, a oprócz nich kilku pomocników. Gotowy towar rozwoził furmankami, później nawet autem ciężarowym do Ostrawy, Cieszyna, Trzyńca, Jabłonkowa, Czacy, Skoczowa i innych. Do jabłonkowskiego Wacława Kopeckiego, a później jego syna, Izzydora, przywoził regularnie raz na miesiąc pełny wóz moraniowskich bóncloków toszonowski gazda, niejaki Warcop. Na wyroby te był zawsze znaczny popyt, dlatego sprzedawano je łatwo i z dobrym zyskiem.

Z roku 1909 zachowała się fotografia przedstawiająca Rudolfa Moránia i jego współpracowników. Są to według numerów:

1. Rudolf Moráň, właściciel fabryczki.
2. Józef Baudiš, garncarz, pochodzący z Dvora Králové (już w tych czasach wielki zwolennik idei socjalistycznych).
3. Stanisław Baudiš, syn Józefa Baudiša. Brat jego, Ernest (nie ma go na zdjęciu), uczył się za garncarza u Wacława Kopeckiego w Jabłonkowie. Później odszedł do Słowacji.
4. Franciszek Valek (starszy), garncarz, pochodził z Sychotína.
5. J. Taraba, garncarz, pochodził z Trzanowic.
6. Jan Fučka, garncarz z Błędowic Dolnych (miał początkowo własny warsztat, ale później przeszedł do Rud. Moránia i tam pracował 8 lat).
7. Jan Czyž, robotnik, przygotowywał drzewo do pieców.
8. Franciszek Moráň, syn brata Rud. Moránia z Sychotína.
9. Nazwisko nieznane.
10. G. Przeczek, uczeń garncarski, z Toszonowic Dolnych.



Repr. K. Piegzy.

11. Tomasz Valek, uczeń garncarski, młodszy brat Franciszka Valka. Obydwaj Valkowie pochodzili z Sychočina. Tomasz Valek żyje do dziś w Toszonowicach Górnych jako emeryt, w przybudówce obok dawnej fabryczki R. Moránia nr 58.

Na zdjęciu brak garncarza Talabaška i dwóch pomocników (Molína i Ciompy, którzy podobnie jak Czyž, przygotowywali drewno do pieców). Można też za-

uważyć, że każdy garncarz trzyma w ręce fajkę, która podobno była nieodłącznym towarzyszem garncarza i jakoby znakiem wyuczenia się tego rzemiosła.

Glinę na bönclóki dowożono do Toszonowic Górnych z Kunštátu, Pílna, a nawet z jakiejś miejscowości koło Prahy. Glinę zwykłą (grubą) zaś dostarczano wozami z niedalekich Domasłowic Górnych.

Rudolf Moráň zmarł dnia 30. IV. 1941, a fabryczkę prowadził po nim do końca

wojny garncarz Adolf Sikora z Toszonowic Górnych. Po wojnie kierował nią wnuk R. Moránia, Jerzy Moráň, majster garncarski z ukończoną szkołą ceramiczną w Uherskim Hradištu. Po upaństwowieniu fabryczki odszedł do huty trzynieckiej, gdzie pracuje do dziś.

Wytwórnię bójców prowadził potem aż do jej definitywnego zamknięcia w r. 1950 Tomasz Valek.

Chociaż fabryczka Rud. Moránia istniała tylko 56 lat (1894—1950), do dziś dnia zachowały się na Śląsku jej wyroby, odznaczające się nie tylko dobrą jakością, ale i estetycznym wyglądem.

Mgr Witold Iwanek w swoim „Słowniku artystów na Śląsku Cieszyńskim” przytacza jeszcze nazwisko niejakiego Jana Kwaśnego, urodzonego w r. 1744 w Nowym Jiczinie, który jako wędrowny czeladnik garncarski pracował w Strumieniu i Toszonowicach Górnych. Zmarł 5. III. 1824. Wynikałoby więc z tego, że Toszonowice Górne już pod koniec wieku XVIII miały swe warsztaty garncarskie.

Bardzo ładne i oryginalne były wyroby garncarzy z **Będowic Dolnych i Datyń Dolnych**. Można je łatwo poznać po czystej, śmietanowobiałej polewie i roślinnych motywach w dekorze. Ozdabiały je też czasem, jak już wspomniano, różne napisy: toasty, dedykacje, daty itp. Jeżeli chodzi o nazwiska garncarzy urodzonych w Będowicach Dolnych, to w wymienionym już „Słowniku artystów” W. Iwanka znajdujemy, niestety, tylko dwa, mianowicie:

1. Jan Guńka, garncarz z Będowic Dolnych, który w r. 1883 pracował w Cieszynie.
2. Jan Lissok (chyba Liszok), garncarz urodzony w r. 1793 w Będowicach Dolnych (w r. 1811 pracował w Cieszynie).

Jest to stanowczo za mało, jeżeli przyjmemy, że Będowice Dolne należały do większych ośrodków garncarskich. Po długich poszukiwaniach udało się autorowi niniejszej pracy odszukać syna jednego z ostatnich tamtejszych garncarzy. Jest nim Paweł Fukała, emeryt z Będowic Dolnych, którego

ojciec, Jan, pracował przez 8 lat u R. Moránia w Toszonowicach Górnych jako garncarz. Przypomniał sobie, że za jego lat dziecięcych, oprócz rodziny Fukałów, garncarzami byli:

1. Szarowscy z Datyń Dolnych,
2. Bałonowie z Będowic Dolnych,
3. Tomanowie z Będowic Dolnych,
4. Tłołkowie z Będowic Dolnych.

Właśnie ci ostatni najdłużej pozostali wierni rzemiosłu garncarskiemu, a później kaflarskiemu. Jeden z nich, Bernard Tłołka, przeniósł się wraz z rodziną do fabryczki ceramicznej hr. Stahrenbergów w Lutyni Górnej i tutaj pracował przez kilka lat. Jego syn, Gustaw, po ukończeniu orłowskiej szkoły ludowej poszedł śladami ojca i wyuczył się najpierw garncarstwa, a potem kaflarstwa. Po dłuższej praktyce założył warsztat kaflarski w **Stonawie**, który był znany w szerokiej okolicy. W roku 1937 przejął go jego zięć, Emanuel Szarowski z Orłowej, również kaflarz. Do likwidacji pracowni doszło w roku 1957.

O dalszych garncarzach z Datyń Dolnych pisze mgr Alojzy Kolorz w swojej kronice dolnodatyńskiej następująco:

„Gospodarze mający około 5 morgów pola mieli jeszcze inne uboczne zajęcia, które z czasem przekształciło się w ich główne zatrudnienie, albo stało się równorzędnym zajęciem z uprawą ziemi. Byli to garncarze, których było we wsi około 10, a mianowicie: Fukała, Kotula, Przeczek, Rajdus, Szarowski, Toman i inni. Najlepsza glina do wyrobu garnków była na gospodarstwie Pipra. Do dziś nazywają tę okolicę „Gliniki”. Tam i inni garncarze, za pewnym wynagrodzeniem, kopali glinę dla siebie. Garnki, miski, dzbanki sprzedawali na targach i jarmarkach. Każdy z nich trzymał konia, aby mógł wozić glinę i aby swój towar mógł wywozić na sprzedaż”.

Do dalszych dobrze prosperujących warsztatów garncarskich, a później kaflarskich, należał też duży warsztat Karola Wałowego (1868—1934) w **Orłowej I** (obok cmentarza komunalnego), założony pod koniec wieku XIX. Po śmierci właściciela został zamknięty — w r. 1955.

A black and white photograph of a ceramic vase. The vase has a decorative pattern of leaves and berries around its middle. The text "Anna Dzik" and "Sucha średnia" is written on the vase in a cursive script.

Anna Dzik
Sucha średnia

Ze starych dokumentów dowiadujemy się jeszcze, że i we **Fryszacie** (dziś Karwina 1) były warsztaty garncarskie. Spotykamy tu takie nazwiska, jak Jan Stantarius i Józef Rainoch. Była tam i uliczka Garncarska. Z cytowanego „Słownika artystów“ W. Iwanka wynika, że najwięcej garncarzy pracowało w **Cieszynie**. Jednak o ceramice cieszyńskiej wiemy bardzo mało; mało jej okazów zachowało się też po dzień dzisiejszy. A przecież koło dawnych zamków (w podgrodziach) nigdy nie brakowało garncarzy. W większych miastach posiadali nawet własne cechy. W książce F. Popiołka „Dzieje Cieszyna“, wydanej przez Pol. Tow. Pedagogiczne w Cieszynie w r. 1916, czytamy na str. 100:

„**Cech garncarski w Cieszynie otrzymał potwierdzenie swych statutów od Adama Wacława w r. 1596. Meisterstück można było odkupić podróżą lub pieniędzmi. Obowiązkiem było mieć żonę. Garncarzom obcym pozwalał statut po ogłoszeniu wolnego targu sprzedawać przez trzy dni, towar, który mu pozostał, mógł odsprzedać cechowym, ale nie wolno mu go było składać w mieście ani sprzedawać w obrębie mili. Ci, którzy się nie wyuczyli porządnie rzemiosła, nie mogą sprzedawać nawet w jarmarku. Od przywożących ma być pobrana opłata dla komory. Szturarzy w obrębie mili mogą usuwać przy pomocy pacholka i urzędnika. W sobotę po zachodzie słońca nie wolno garnców wypalać. Glinę mogą brać na gruntach książęcych lub miejskich bez przeszkody, tylko co roku mają garncarze dawać po 1 zł. do komory i co roku cały cech zrobić ma na zamek 5 pieców ostrych „szklanych“, dobrze wypalonych i wykonać naprawki na zamku i folwarkach książęcych. Na ratusz ma dawać każdy po 9 groszy, nadto cech ma w razie potrzeby wystawić piec w izbie radnej i naprawić według potrzeby“.**

Innym wielkim ośrodkiem garncarskim był **Skoczów**, gdzie nawet cała jedna uliczka była zamieszkała przez rzemieślników tej specjalności. Na uwagę zasługiwaliby również kaflarze **frydec-**

cy, którzy wyrabiali bardzo ładne kafle, zwane majoliką (inform. podała p. Barbara Kopecka).

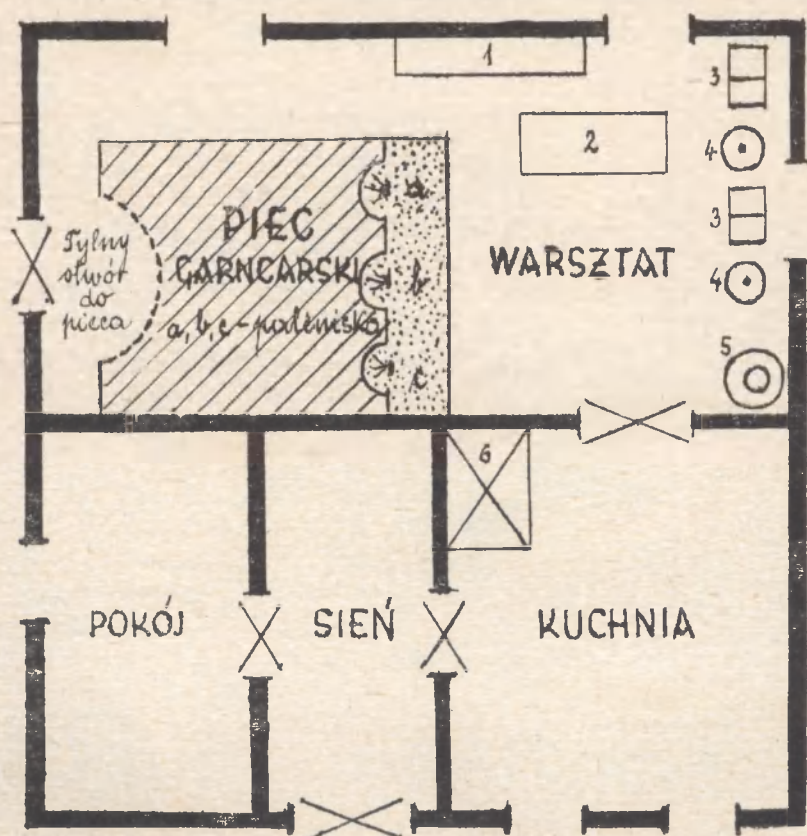
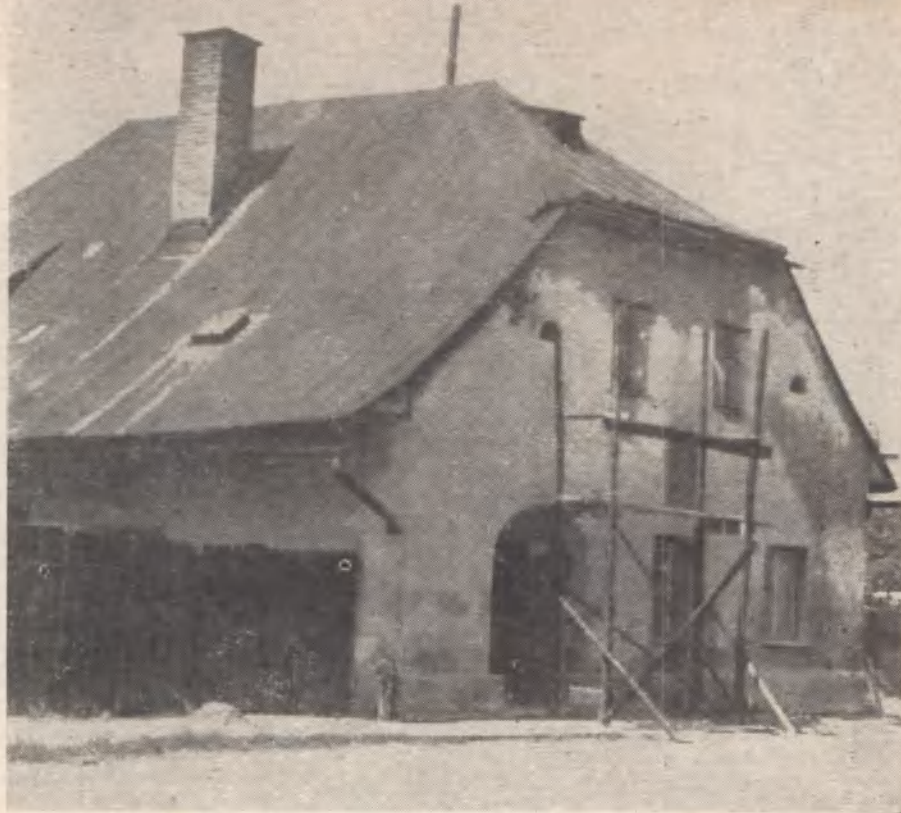
Nie ma wątpliwości co do tego, że oprócz tych kilku większych ośrodków było na Śląsku sporo mniejszych warsztatów garncarskich. Ich wyroby jednak nie odznaczały się jakimś specjalnymi walorami artystycznymi, poszły więc prędko w zapomnienie.

Dla uzupełnienia całości opisu ceramiki cieszyńskiej warto jeszcze dodać, że pod koniec w. XIX powstała w **Lutyń Górnjej** fabryczka garncarska czy raczej kaflarska. Początkowo była własnością hr. Larischa z Karwiny, później zaś hr. Franciszki ze Stahrenbergów. W fabryce tej wyrabiano nie tylko kafle pospolite, ale i do pieców stylowych, zdobiących komnaty domów mieszczan-skich i rezydencji magnackich. Specjalnością były piece i kominki białe. Prócz tego fabryczka górnołutyńska wyrabiała także płucary, tj. duże naczynia gliniane na wodę, i gliniane beczki na kiszoną kapustę. Fabryczka była czynna jeszcze podczas drugiej wojny światowej; po jej zakończeniu uległa likwidacji. Na szczególną uwagę, ze względu na wyraźne walory artystyczne wyrobów, zasługuje również inna fabryczka ceramiczna, założona w **Suchej Górnej** w r. 1918 przez hr. Larischa. Jej powstanie umożliwiły przede wszystkim bogate złoża gliny garncarskiej wysokiej jakości, znadujące się na miejscu. Hr. Larischowi nie chodziło o pospolitą ceramikę ludową, lecz o artystyczną, której sprzedaż przynosiła większe zyski. Wkrótce też sprowadzono do nowego zakładu fachowców z wykształceniem akademickim, niejakiego Teodora Mallenera, a później artystkę Augustynę Mundt, pochodzących z Wiednia. Piękne wyroby górnosuskie zdobyły sobie szeroki rynek zbytu. Kupowała je Ostrawa, Brno, Ołomuniec, Praga, Opa-wa; znaczna część wyrobów szła na eksport do Anglii, Francji, Polski, Austrii, a nawet Ameryki. Do produkcji zaczęto wprowadzać białą glinę kaolinową z Karłowych Warów, a także nowoczesne urządzenia.

Piech Zyje

1923.





4. „Kregi” (Koła)
5. Żarna
6. Piec kuchenny

1. Ława
2. Dziura na glinę
3. Woda

Około roku 1925 było zatrudnionych w fabryczce, oprócz kilkunastu robotników, 2 majstrów i 1 artystka-projektantka. Z nadejściem wielkiego kryzysu gospodarczego na przełomie lat 1927 i 1928 wyroby górnosuskie zaczęły stopniowo tracić rynek zbytu, w wyniku czego w r. 1928 powziął hr. Larisch decyzję zamknięcia fabryczki.

Przeglądając wspomniany już „Słownik artystów na Śląsku Cieszyńskim“ W. Iwanka, natrafiamy na następujące nazwiska garncarzy ośrodka jabłonkowskiego:

Ak — garncarz — około r. 1821 pracował w Jabłonkowie, jego sygnowane wyroby znajdują się w Muzeum w Cieszynie.

Boruczek — garncarz — około r. 1850 prowadził w Jabłonkowie warsztat garncarski, wyuczył m. i. Kopeckich.

Józef Ćwięczek — garncarz — około r. 1900 pracował w Jabłonkowie u Wacława Kopeckiego.

Józef Czech — garncarz — około r. 1900 zmarł w Jabłonkowie.

Jan Czudek z Gródka — około r. 1900 pracował w Jabłonkowie.

J. Jurzykowski — garncarz — około r. 1900 zmarł w Jabłonkowie.

Jan Kopecki — garncarz — urodz. w r. 1879 w Jabłonkowie, około r. 1900 pracował tamże.

Józef Kopecki — garncarz — około r. 1900 pracował w Jabłonkowie u Pawła Kopeckiego.

Paweł Kopecki — garncarz — urodzony w r. 1873 w Jabłonkowie, około r. 1900 pracował tamże.

Wacław Kopecki — garncarz — około r. 1900 pracował w Jabłonkowie.

Walenty Orlik — garncarz — w r. 1577 mieszkał w Jabłonkowie, płacąc 28 groszy podatku miejskiego.

Franciszek Prochaska — garncarz — przed r. 1900 przeniósł się ze Skoczowa do Jabłonkowa, gdzie pracował u Józefa Czecha. Zmarł w r. 1914.

Jerzy Tacina — garncarz — około r. 1900 pracował w Jabłonkowie.

Ignacy Tomanek (właściwie Tomek) — garncarz — w drugiej połowie w. XIX pracował w Jabłonkowie.

Ze starych dokumentów dowiadujemy się, że około r. 1878 żył w Jabłonkowie pod numerem 22 jeszcze jeden garncarz, Walenty Jurzykowski, który sprzedał swą posiadłość Jerzemu Tacinie, garncarzowi z Nawsia nr 13. Z innych źródeł wynika, że ów Jurzykowski już w r. 1880 mieszkał w Rakowej nr 303, a w dwa lata później, tj. w r. 1882, w Nowej Wsi koło Turzówki nr 24. Zmieniał więc często miejsce pobytu, szukając lepszych warunków zarobkowych.

Spośród podanych wyżej kilkunastu nazwisk garncarzy bije w oczy powtarzające się czterokrotnie nazwisko **Kopeckich**. Nosiły je dwie rodziny: liczniejsza, wywodząca się z pradziadka Jerzego, również garncarza, znanego szeroko daleko poza Jabłonkowem, mieszkała od dawien dawna przy ulicy Młyńskiej nr 72. Syn Jerzego, Franciszek Jerzy, ur. 7. IV. 1822, objął po śmierci ojca warsztat i z powodzeniem prowadził go dalej. Zginął tragicznie koło Milówki w dniu 22. IX. 1869, mając zaledwie 47 lat. Po nim przyszedł młodzikut, bo zaledwie jego 20-letni syn Wacław, urodz. 3. IX. 1849. Garncarstwa wyuczył się u ojca, pracownię zaś prowadził dzielnie dalej, żywiąc matkę i dwie nieletnie siostry. Z powodu swej młodości przez 14 lat nie mógł uzyskać świadectwa przemysłowego [Gewerbschein], dlatego zmuszony był pracować pod dawną firmą swego ojca aż do roku 1884, kiedy to wreszcie otrzymał wymagany dokument.

◁ Dom Wacława Kopeckiego, garncarza z Jabłonkowa, ulica Młyńska (u dołu plan tego domu). — Zdjęcie K. Piegzy.

Najstarszego syna, Izydora, urodz. w r. 1878, wyznaczył swoim następcą. Ten nie poprzestał na nauce w domu ojcowskim, lecz pobierał ją także w Skoczowie, gdzie również terminował.

W owym czasie wchodziły w modę piece kaflowe, garncarstwo zaś zaczęło podupadać, gdyż we Frydlancie wprowadzono produkcję naczyń blaszanych, emaliowanych, a w hucie trzynieckiej rozpoczęto wyrób garnków żelaznych (lanych), zwanych **zieleźniokami**. Oba gatunki tych naczyń były o wiele trwałe od glinianych, a do tego niedrogie. Zmuszało to garncarzy do szukania nowych źródeł zarobku, a że kaflarstwo miało wiele wspólnego z garncarstwem, zaczęto synów przysposabiać do zawodu kaflarskiego. Tak było np. w rodzinie Tacinów, gdzie trzech braci zostało kaflarzami. Podobnie było w rodzinie Kopeckich; najstarszego syna Izydora, wyuczonego garncarza, wysłał ojciec na naukę do Wiednia, do największej wówczas fabryki kaflí firmy Hartmuth. I choć Izidor zdobył tam wiele wiadomości, głównie zaś wszechstronnej praktyki, widocznie nie zadowolili się zdobytą wiedzą, bo udał się jeszcze do dużej szamotowni w Rakowniku, by zapoznać się z tamtejszymi urządzeniami i technologią. Odbył jeszcze kilka praktyk w większych ośrodkach kaflarskich w Czechach, Austrii i Niemczech. Kiedy po trzyletniej służbie w wojsku austr. wrócił do domu, okazał się nie tylko świetnym fachowcem, lecz również człowiekiem nadzwyczaj przedsiębiorczym i światłym. Wkrótce też otwarł w Jabłonkowie znany szeroko zakład kaflarski. Nabył od rodziny Sikorów duży dom obok kościoła i założył na parterze sklep ceramiczny. Sprzedawano tu nie tylko piece kaflowe, ale i bñcłoki Moránia z Toszonowic Górnych, trzynieckie zieleźnioki i emaliowane naczynia blaszane z Frydlantu.

W tym czasie jego ojciec, Wacław, prócz garnków zaczął wyrabiać i kafle. Sprzedaż garnków prowadził we własnym zakresie, lecz kafle dostarczał swe-

mu synowi Izidorowi. Ten nie tylko sam trudnił się zduniństwem, ale później, otrzymawszy zlecenia na stawianie pieców kaflowych na dworcach kolejowych i w pobliskich leśniczówkach, był zmuszony brać sobie do pomocy czeladników i terminatorów. Na okazalsze piece sprowadzał majolikę z Frydku. Majątek Izydora Kopeckiego, dzięki jego zapobiegliwości, zaczął się powiększać. Z domem, zakupionym od Sikorów, przejął i fiakierstwo, prowadzone dotychczas przez niejakiego Kupla. Były to dwie pary koni wraz z parkiem wozów, kolas i sań. Ciekawe, że do powoźnictwa należał też tramwaj konny, kursujący regularnie na odcinku Jabłonków — Nawsie dworzec i z powrotem w oznaczony czas. Naoczni świadkowie podają, że środkiem lokomocji był wóz myśliwski z obustronnymi siedzeniami. „Tramwaj“ ten kursował dość długo i dopiero ustąpił miejsca pierwszemu autobusowi, kiedy to niejaki Karpecki z Piosiecznej, wróciwszy z Ameryki, zaprowadził przed pierwszą wojną światową stałą linię autobusową na wymienionym wyżej odcinku. Po śmierci Wacława Kopeckiego (r. 1923) nikt już nie przejął po nim warsztatu garncarskiego, gdyż zawód ten nieuchronnie chylił się ku upadkowi. Zawsób materiału, który jeszcze pozostał, zużyli na miejscu garncarze Antoni Sniegoń i Paweł Kopecki. Potem zakład definitywnie zlikwidowano, a po jakimś czasie bracia Jeżowiczowie przekształcili go na warsztat stolarski. Piec garncarski uległ rozbiórce w r. 1928. Warto dodać, że w warsztacie Wacława Kopeckiego pracował nieprzerwanie do końca życia, tj. przeszło 40 lat, garncarz Józef Ćwiczek.

Izidor Kopecki cieszył się w Jabłonkowie ogólnym szacunkiem, piastując przez pewien czas nawet urząd burmistrza miasta. Zmarł w wieku 74 lat, nie pozostawiając żadnych potomków. Po jego śmierci warsztat kaflarski i cały interes uległ zupełnej likwidacji.

Druga rodzina Kopeckich (dalsi krewni poprzednio omawianej) mieszkała przy bocznej uliczce (Strażackiej), tuż



obok rynku jabłonkowskiego. Współcześni pamiętają jeszcze **gańczorza** Pawła Kopeckiego, urodzonego 13. I. 1864, a zmarłego 15. IV. 1951. Ta rodzina Kopeckich pochodziła z Jabłonkowa, a ojciec Pawła, Filip Kopecki, miał być pono nauczycielem w Mostach. Gdzie syn wyuczył się garncarstwa, trudno dzisiaj dociec. Wiemy tylko, że w Jabłonkowie uchodził za dobrego fachowca. Jeszcze w r. 1939 utoczył na kole i wypalił ostatnie naczynia garncarskie, przeznaczone dla Muzeum w Katowicach. Choć miał dwóch synów, ani jeden z nich nie wybrał tego rzemiosła, został więc w tym względzie bez następcy. Od r. 1939 warsztat był już nieczynny, a jeszcze za życia Pawła (1950) piec uległ rozbiórce. Dziś w przebudowanym już domu nr 157 mieszkają dwie jego wnuczki.

O dwa lata wcześniej, a więc w r. 1948, został rozebrany piec u jego sąsiada, również garncarza, **Józefa Taciny**. Była to trzecia popularna rodzina w Jabłonkowie, pochodząca z Nawsia nr 13. Już pradziadek Józefa, Jerzy Tacina, urodz. 9. X. 1848, zakupił w Jabłonkowie posiadłość od garncarza Walentego Jurzykowskiego, zamieszkałego pod numerem 22. Tak więc już od r. 1878 Tacinowie osiedlili się w Jabłonkowie, gdzie wykonywali swoje rzemiosło.

Syn Jerzego, również Jerzy Tacina, urodz. 29. VIII. 1875 (zmarł w r. 1931), uczył się przez trzy lata garncarstwa u swego ojca, a potem jeszcze przez 14 miesięcy praktykował u Jana Santariusza, garncarza we Frysztacie. Po śmierci ojca przejął jego warsztat. Miał siedmioro dzieci: 1 córkę i 6 synów. Trzech z nich wyuczyło się garncarstwa w domu, a później powędrowało w świat dla zdobycia praktyki kaflarskiej. Rok przed swą śmiercią (1930) przekazał warsztat swemu najstarszemu synowi, Józefowi, który prowadził go wzorowo aż do swej śmierci (1955). — Młodszy brat, Jerzy, zmarły w r. 1962, prowadził przez długie lata warsztat kaflarski w Czacy. Trzeci brat, Jan, pracował jako kaflarz w Karwinie. Jest to ostatni żyjący jeszcze garncarz i kaflarz z rodziny Tacinów.

Także dom nr 155, w którym Tacinowie posiadali swój warsztat, został już przebudowany na mieszkanie.

Z innych garncarzy jabłonkowskich wypada jeszcze wymienić **Antoniego Śniegonia**, urodz. w r. 1850, a zmarłego 7. III. 1931, który mieszkał i prowadził warsztat w Jabłonkowie **Na Kaluży**, w domu nr 62. Według wypowiedzi jego wnuczki, p. Leśniakowej, uczęszczał podobno przez jakiś czas do szkoły miejskiej w Cieszynie, gdzie wyuczył się także rzemiosła garncarskiego. Pracował przeważnie sam, bez pomocy czeladników. Po śmierci swej żony Elżbiety (24. II. 1909) tylko przez dwa lata prowadził warsztat. Pomagał potem Wacławowi, a później Izidorowi Kopieckiemu, raczej „dla zabicia wolnego czasu“, niż z potrzeby. Jego piec garncarski zlikwidowano w r. 1912, dom zaś został od fundamentów przebudowany w latach 1948—1949.

Z wyrobów garncarskich A. Śniegonia nie zachowało się prawie nic. Z powyższego wynika więc, że po Cieszynie Jabłonków miał najwięcej garncarzy, czyli **hafnerów**, jak im za czasów austriackich wpisywano do metryk, i wspólnie ze Skoczowem oraz Wisłą zaopatrywał w wyroby garncarskie niemal całe Podbeskidzie. Longin Malicki w swojej pracy pt. „Zarys kultury materialnej górali śląskich“, wydanej w r. 1936 przez Muzeum Śląskie w Katowicach, pisze:

„Wyroby ceramiczne kupowano w **Jabłonkowie, Skoczowie i Wiśle**. **Garncarze** czyli **gańczorze jabłonkowscy** przyjeżdżali ze swoją ceramiką w niedzielę do Istebnej, gdzie na placu przed kościołem rozkładali różne gorki i żeleźnioki. Starsi górale pamiętają jeszcze, że między innymi najczęściej sprzedawał tu **ździorba** na warzyni **Adam Byrtus**, garncarz z **Jabłonkowa**, rodem z Istebnej. Według wypowiedzi p. Barbary Kopeckiej **Adam Byrtus** nie był garncarzem, tylko gazdą na **Bagińcu** (osada Piosku). Jako teść Pawła Kopeckiego jeździł sprzedawać jego towar do Istebnej, ponieważ sam P. Kopecki nie miał na to czasu (przyp. mój). **U garncarzy jabłonkowskich kupowali Istebniacy, Jaworzy-**



Misy jabłonkowskie. — Zdjęcie K. Piegzy.

nianie i Koniakowanie. Nowe garnki drutowano przeważnie od razu, aby wytrzymały kilka lat. W Wiśle istniało osobne centrum garncarskie w placu, gdzie dziś znajduje się kawiarnia Oaza. Misy wiślańskie osiągały jeszcze większe rozmiary niż jabłonkowskie. Skoczów dostarczał ceramikę głównie dla Brennej, jako najbliższej leżącej. Inne miejscowości góralszczyzny zaopatrywał dawniej w wyroby garncarskie Jabłonków. W Skoczowie trudni się rodzina Raszków już w trzecim pokoleniu garncarstwem. Dzisiaj warsztat ten prowadzi Sarkander Raszka, który wyrabia także ludowe kropielniczki zwane „żegnoczkami“. Dawniej w powszechnym użyciu były ogromne misy gliniane w kształcie ściętego stożka z brzegiem profilowanym i zagiętym do środka, z polewą barwy jasnobrunatnej. Wewnątrz misy biegnie ornament najczę-

ściej z linii falistych, czasem zaś złożony z ciemniejszych plam i mniejszych kropek. Przeciętne wymiary tych mis są następujące: średnice dna wahają się od 12 do 16 cm, średnica górą od 30 do 36 cm. Są to tzw. misy jabłonkowskie. Dalej należy wspomnieć o „rynkach“ glinianych, tj. wielkich i głębokich misach z dwoma uchami na brzuscu, opartych na trzech nożkach, zwężających się ku dołowi. Ryniki te stawia się wprost na „nolepie“, na skutek czego jego czerep jest zwykle z zewnątrz okopcony. Dawniej używano również tzw. „piekoczy“ o jasnobrunatnej zazwyczaj polewie, w formie glinianego kosza z kabłąkowym, płaskim uchwytem, przymocowanym do nieco spleśzczonych w tym miejscu boków naczynia. Wymiary „piekoczy“ są następujące: wysokość od 15 do 20 cm, średnica dna 19 cm, górą zaś od 25 do 40 cm.



„Czepnik” jabłonkowski. — Zdjęcie K. Piegzy.

Należy też wymienić „banioki”, duże gliniane naczynia dzbankowate z szyjką krótką wywiniętą na zewnątrz, polewane na kolor ciemnobrunatny o silnym polsku. Czerep jest tutaj podłużny, górą szerszy, a zwężający się ku dołowi. Wymiary banioków są następujące: wysokość 33 cm, średnica dna 16 cm, góry 14 cm. Ciekawe są również dzbanki na kwit, to znaczy na wódkę dawniejszego wyboru o mocy 55 %. Takie dzbanki wyrabiali Raszkwie w Skoczowie. Szyjka tego dzbanka jest bardzo krótka, rozszerzona ku górze oraz zakończona dzióbkiem, jest ona zupełnie zakryta, tworząc miseczkowate zagłębienie, w którym jest mały otwór, zatykany koreczkiem. Polewa dzbanków „na kwit”

wyrobu Raszki, posiada najczęściej barwę ciemnobrunatną lub prawie czarną, na tle której występuje jeszcze ornament wgłębny, złożony z szeregu rowków. Często także noszą one na brzuscu żłobiony napis z imieniem oraz nazwiskiem właściciela. Dalej należy wspomnieć o malowanych kubkach jabłonkowskich, spotykanych najczęściej w Istebnej, Koniakowie i Jaworzynce, które zaopatrzone w ucho, i górą zwężone, posiadają brzeg nieco wywinięty. Na tle jasnobrunatnej polewy tych garnków zarysowują się wyrażście białą farbą wykonywane zdobienia, zazwyczaj meandry z kropkami lub grube kreski o układzie jodełkowym. Powszechne są też brunatne polewane cypki do karmie-

nia dzieci; są to małe, do 8 cm wysokie dzbanuszki z dość wysoką szyjką i lekko wywiniętym brzegiem, przy którym tuż obok ucha umieszczona jest na brzuscu rurka do karmienia. O „czepnikach” czyli ciepniakach do przechowywania mleka wspomniano już wyżej”. Tyle o wyrobach garncarskich napisał w swojej pracy Longin Malicki. Barbara Kopecka, córka Wacława Kopeckiego, informuje, że jej ojciec wyrabiał jeszcze wiele innych rzeczy. Były to np.:

1. duże garnki z dwoma uchami, nazywane uszokami (uchoczami),
2. specjalne garnki na smalec (szmolec),
3. specjalne naczynia na sól (solniczki),

4. małe garnuszki na kawę, mleko, piwo,
5. duże naczynia z otworami w bocznej ścianie na świeżą pietruszkę, którą wkładano do nich jesienią i zasypywano wilgotnym piaskiem. Tak zapewniała sobie przezorna go spodyni świeżą matkę pietruszki na zimę,
6. specjalne dzbanki różnej wielkości i rozmaitego kształtu, stanowiące szczególny asortyment. Tutaj pomysły garncarz dawał upust swej fantazji, zwracał na siebie uwagę zdolnościami artystycznymi, stosując przeróżne ozdoby, czyli wspomniane już dekor.



„Bliźnioki” (ceramika jałtonkowska). — Zdjęcie K. Piegzy.



I tak np. duże dzbanki cechowe **zdo-**bił nalepiany plastyczny dekor z glini. Były to prace niełatwe, wymagające nie tylko zręczności, lecz przede wszystkim wyrobienia estetycznego i inwencji twórczej,

7. formy do wypiekania baranków wielkanocnych, a także dzieciątek w powijkach. Kunszt garncarski polegał tu na starannym odbiciu drewnianej formy w miękkiej glinie, a potem na wypalaniu i glazurowaniu,
8. zrośłoki, czyli dwa garnki bliźniacze, przeznaczone do noszenia obiadu ludziom pracującym w polu,
9. gliniane pudełka na tytoń, wykonywane w formie stojącego niedźwiedzia lub książki,
10. małe garnuszki na miód, zakupywane zwłaszcza przed Świętami Godowymi,
11. zabawki dla dzieci, jak skarbonki, piszczałki, okaryny,
12. obłóńki, czyli naczynia gliniane w kształcie spłaszczonych beczulek, używane w gospodarce szalaśniczej na mleko lub śmietanę,
13. okurzacze pszczoł — dwojaki: bez dodatkowej bani dymiły mocniej, z banią słabiej,
14. świeczniki,
15. podstawki do lamp,
16. żegnoczki do użytku domowego, czyli kropielniczki na wodę święconą,
17. lampki pod obrazy jako „wieczne światła“,
18. cedzki,
19. babówki, czyli formy do pieczenia babek,
20. formy do pieczenia strucli,
21. doniczki różnej wielkości (bez polewy),
22. formy do pieczenia placków,
23. plucary, czyli beczułkowate naczynia na wodę.



Forma na ciasto weselne z Toszonowic Górnych. — Zdjęcie K. Piegzy.

Ze względu na to, że popyt na wyroby garncarskie był stosunkowo mały, a konkurencja duża, sprzedawano je dość tanio, często nawet wymieniano je za naturalia, a więc za mleko, masło, ser, kądziel, jajka, mięso itp. Taka transakcja nie zawsze była witana i praktykowana przez garncarzy, gdyż mieli zobowiązania finansowe wobec swych robotników.

Porównując zachowane w muzeach, a nawet jeszcze w domach prywatnych, okazy ceramiki cieszyńskiej z wyrobami pochodzącymi z innych regionów, stwierdzimy, że pomimo położenia geograficznego tutejszego regionu, które umożli-

wiało wpływy obce, ceramika cieszyńska zachowała pewne specyficzne znaki, pozwalające ją spośród innych wyodrębnić. Dotyczy to zwłaszcza dzbanów i mis, które wyróżniają się nie tylko nieco odmiennym kształtem, lecz także prostym, nieraz bardzo gustownym dekokrem.

Garncarstwo cieszyńskie zajmuje poczesne miejsce w tutejszej sztuce ludowej, a także kulturze materialnej, i jak najbardziej zasługuje na to, aby je upamiętnić. Niniejsza praca starała się spełnić, choć w skromnej mierze, ten właśnie postulat.

LITERATURA

Československá vlastivěda, tom II. Lidová kultura. Praha 1966.

Karel Cernohorský, Moravská lidová keramika. Praha 1941.

Witold Iwanek, Słownik artystów na Śląsku Cieszyńskim. Bytom 1967.

Herman Landsfeld, Lidové hrnčířství a džbánkařství. Praha 1950.

Longin Malicki, Zarys kultury materialnej górali śląskich. Katowice 1936.

Kazimierz Moszyński, Kultura ludowa Słowian, tom I. Warszawa 1967.

Roman Reinfuss, Garncarstwo ludowe. Warszawa 1955.

Vladimír Scheufler, Jablunkovská keramika, Slezský sborník, r. 49, 1951, str. 61 — 72.

Jaroslav Zahradník, Jablunkovští hrnčíři. Radostná země, r. V, 1955, str. 14 — 15.



W najbliższych latach w serii Zeszytów Ludoznawczych
Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO ukażą się:

- 1) Cieszyńskie lecznictwo ludowe,
- 2) Opowieści wierzeniowe na Śląsku Cieszyńskim.

KAROL PIEGZA
CERAMIKA CIESZYŃSKA

**Wydal Zarząd Główny
Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego
Sekcja Folklorystyczna**

Redaktor publikacji : JÓZEF ŁYSEK

Opracowanie graficzne : TADEUSZ BERGER

Recenzent : doc. dr JÓZEF LIGĘZA

Nakład : 1 000 egz.

Czeski Cieszyn 1971

Cena 5 Kčs

Druk: MTZ 23 Karviná

Książnica Cieszyńska

P 3.02.26 SL

